

Rozwiewanie eko-mitów

23 lipca 2010

Ponieważ co rusz ktoś nas wzywa ostatnio do chodzenia na rękach, lub stawania na głowie z powodów „ekologicznych”, warto sobie od czasu do czasu przypomnieć, co – załóżmy, że ekołobby ma rację – powinniśmy jako cywilizacja zrobić, by ograniczać emisję gazów cieplarnianych, głównie CO₂, i uchronić się przed zgubnym skutkami podnoszenia temperatury planety.

Oczywiście w ramach tegoż stawiania nas do pionu możni tego świata w prosty sposób zabierają nam wprost z kieszeni środki na tzw. czyste technologie, czy też okładają podatkami ekologicznymi. Przeanalizujmy sobie po kolei różne eko-mity. Zaczniemy od najprostszych – mówi się na przykład, byśmy w celu walki ze szkodliwą emisją kupili sobie nowy hybrydowy samochód – tymczasem jego łączna emisja szkodliwych gazów podczas całego „życia”, WLICZAJĄC całą produkcję auta i baterii od poziomu rud metali, jest większa niż zwykłego dużego auta spalinowego, oszczędnych nie wspominając.

Mówi się nam, że musimy płacić coraz więcej za prąd, bo nasze źródła energii są „brudne” i trzeba nam budować lasy farm wiatrakowych i pokrywać łąki kilometrami kwadratowymi baterii słonecznych. Jednocześnie przenosi się produkcję towarów, które kupujemy, do krajów, gdzie energia pozyskiwana jest ze sto razy bardziej brudnych źródeł, a normy ochrony środowiska praktycznie nie istnieją. Tak więc „eksportując” nasze zakłady do takich państw jak Chiny, globalnie zwiększamy emisję gazów cieplarnianych o wiele bardziej, niż gdyby te zakłady pozostały u nas i były zaopatrywane w energię z naszych lokalnych względnie czystych źródeł.

Dlaczego nikt nam tego w ten sposób nie przedstawia?!

Jeśli zatem chcemy rzeczywiście coś zrobić dla ochrony

klimatu, powinniśmy unikać kupowania rzeczy z krajów, gdzie do ich wyprodukowania posłużyła brudna energia, zwłaszcza zaś nie powinniśmy kupować takich rzeczy bez opamiętania, jedna po drugiej.

Tu docieramy do drugiej ważnej kwestii ochrony przyrody i zapobiegania niekorzystnym zmianom klimatu, mianowicie zasady: im więcej konsumujesz, tym więcej trujesz. Nawet na wyprodukowanie szajsowatej podkoszulki trzeba energii – trzeba też energii, aby ją przywieźć do sklepu, zareklamować etc. A to wszystko wiąże się nierozłącznie ze szkodliwymi emisjami. Tymczasem nasza cywilizacja coraz więcej przedmiotów codziennego użytku przesuwą do kategorii jednorazowej. Dawno już do lamusa odesłaliśmy zakłady naprawcze i wszelkie reperacje, dzisiaj, gdy coś się zepsuje – ładuje w śmieciach. A zatem zamiast jak jelenie przepłacać prąd produkowany rzekomo dla ratowania naszej planety wyjątkowo nieekonomicznymi sposobami, wystarczyłoby, byśmy nieco przykręcili nasze konsumpcyjne zapędy, a już klimat by odsapnął, a gazy nawet by nie powstały.

Posunięciem bardzo ekologicznym i korzystnym z punktu widzenia „ratowania klimatu” byłoby więc sprowadzenie zakładów przemysłowych ponownie w nasze granice, być może produkowałyby one drożej, ale przez to przedmioty nie byłyby jak kleenexy, zaś ludzie mieliby – co może nie jest takie całkiem bez znaczenia – pracę. Napływ towarów zewnętrznych należałoby po prostu obłożyć cłem, traktując wpływ ograniczania kosztów produkcji przy pomocy braku norm środowiskowych, niskich kosztów robocizny i manipulacji kursowych – zgodnie z faktem – za niedopuszczalne dotowanie własnej produkcji przez tamtejsze państwa, naruszające w ten sposób zasady fair play wolnego rynku.

Nie tak dawno na takiej samej zasadzie Stany Zjednoczone obłożyły cłem import kanadyjskiego drewna, uznając, że niskie kanadyjskie opłaty za wycinanie w lasach państwowych to nic innego jak nielegalna dotacja naruszająca zasady wolnego

rynku, chronione w ramach porozumienia wolnocłowego NAFTA. Jeśli taki pikuś wywołał zaniepokojenie Amerykanów, to proszę się zastanowić, dlaczego USA nie są w stanie permanentnej wojny handlowej z Chinami, kraju stosującego surowe rygory nacjonalizmu gospodarczego, masowo dotującego własną produkcję, nie stosującego norm ochrony środowiska, o BHP nie wspominając, i bezczelnie manipulującego własną walutą?

Wygląda na to, że dzisiaj jesteśmy sprawcami masowego trucia atmosfery nie dlatego, że jeździmy dużymi autami – bo auta coraz bardziej wydajne, a spaliny czystsze – lecz dlatego, że nasze państwa, nie pytając nas o zdanie i za naszymi plecami, pod naciskiem zaślepionych żądzą pieniądza handlarzy, przestało nas bronić przed zagraniczną agresją gospodarczą. Dlaczego tak się stało? Dlaczego potajemnie zmienia się nam świat? Dlaczego każe się nam i naszym dzieciom płacić za poroniony ideologiczny pomysł włączenia azjatyckich elit do globalnego obiegu? Kto o tym zdecydował i kiedy?

Proszę o odpowiedź, bo przecież żyjemy w demokracji i nic o nas bez nas się nie dzieje.

A gdy już jesteśmy przy systemie politycznym, to proszę mi powiedzieć, która partia reprezentuje zwykłego człowieka, takiego co to ciuła grosz do grosza, posyła dzieci do szkoły, spłaca długi zaciągnięte pod hipotekę. Po tak po dwudziestoletniej obserwacji naszej „agory” wydaje mi się, że nikt – ktokolwiek zbierze nasze głosy pod hasłami ograniczenia aparatu administracyjnego państwa i zmniejszenia podatków – zaraz jak tylko przypnie się u koryta, jakoś tak zaczyna dryfować na z góry upatrzone pozycje, niepokojąco bliskie tym, przeciwko którym nie tak dawno gardłował. Na dodatek powszechny upadek cnót obywatelskich i wymieszanie naszych społeczeństw sprawiają, że nawet zbyt głośno przeciwko takim oczywistym oszustwom nikt nie protestuje. Ludzie zdobywają mandaty, mówiąc jedno, a następnie robią drugie, wprost stwierdzając, że z chwilą uzyskania władzy ich odpowiedzialność jest już inna.

Wydawać by się więc mogło, że pozostaje wyłącznie rewolucja. Tylko że ona ma w zwyczaju pożerać własne dzieci. Póki co zaś brońmy się ile można – przede wszystkim przed wciskaniem kitu do mózgu; przede wszystkim przez odwołanie do jakże niemodnego dzisiaj zdrowego rozsądku. Wystarczy sobie i innym zadawać proste pytania, żeby zobaczyć, kto nas tutaj tak naprawdę robi w balona.

Autor: Andrzej Kumor

Źródło: [Goniec](#)